

Krystyna Latawiec  
Kraków

## Spełnione życie Mariana Pankowskiego (1919 – 2011)

Przebył drogę od zielonych karpackich wzgórz do bliskiej morza Brukseli – jedno i drugie miejsce darzył czułością, mimo że sentymentalny nie był. Z tego też powodu nie eksponował wątków biograficznych, choć życie nie szczędziło mu „przygód”, żeby przypomnieć podtytuł *Matugi* (1959). Pożegnał się tą drapieżną prozą z lirycznym Maniusiem, z jego młodzieńczym idealizmem, ale też z pokusą heroizowania auszwickiego losu. Nie wszedł w rolę epika „czasów pogardy”, nawet nie odpowiadał na ankiety, które dostawał od badaczy poobozowej traumy. Zamknął ten rozdział, a kiedy po latach doń wrócił, to w formie zdystansowanej: *Z Auszvicu do Belsen (przygody)*. Osobiste doświadczenie traktował jak „przygodę”, czyli przypadek, który wprawne pióro poety obrabia w języku, aż uzyska walor smaku, koloru, chropowatą fakturę fizycznej materii. Pankowski opowiedział się po stronie ziemskiej i ludzkiej, mimo że zwątpienie było po wojnie mocno uzasadnione. Sceptycyzm kierował pod adresem ideologii, niezależnie spod jakiego znaku one pochodziły, podczas gdy dla ludzi poszczególnych, wrzuconych w wir historii, miał dużo współczucia. Również wtedy, gdy byli to Niemcy czy Rosjanie.

Kiedy w maju 1981 roku przyjechał do Krakowa, aby wygłosić wykład w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej, zaskoczył słuchaczy, mówiąc o literaturze nieokrzesej. Staranny w stroju i manierach Profesor analizował konwencje stylistyczne dowcipów obscenicznych. Nie stronił od cytatów obfitujących w motywy skatologiczne, w nich widząc przejaw żywotności mowy. Było to tym bardziej zadziwiające, że na fali solidarnościowej euforii oczekiwano od emigranta dyskursu wolnościowego. Pisarza interesowały jednak marginalia, podczas gdy kraj żył ideami. Długo zatem przyszło mu czekać na uznanie krytyki, zdominowanej w latach 80. XX wieku dążeniem do politycznej emancypacji. Dopiero w kolejnych dwu dekadach, gdy nastąpiło przesunięcie uwagi ku jednostkowej egzystencji, okazało się, że teksty Mariana Pankowskiego zasługują na wnikliwą lekturę, dostarczają bowiem przyjemności estetycznej i poznawczej.

Jak intensywnie chłonał świat, tak też i o nim pisał. Jego oczy wciąż przyciągała bujność traw, powonieniem smakował potrawy, zapuszczał się w zapachy sanockiej młodości. Sensualista z natury i wyboru schylał głowę ku ziemi, celebrując z pełną uwagą drobne nawet przejawy witalnej energii. Nie pozwalał sobie na czas pusty, niezależnie od tego, czy był sam czy w towarzystwie. Każdy szczegół wart był uchwycenia, najpierw w emocjonalnym odruchu, potem w literackim opisie, którego ekspresywność dorównywała spostrzegawczości autora. Wyodrębniał z potocznego biegu zdarzeń chwile, jak choćby spotkanie ze sroką na brzegu Morza Północnego czy zapamiętane z Karpat rydze, odprawiając nad nimi liturgię słów. Zapisywał zdarzenia przygodne w wyrafinowanym stylu, aby wciągnąć czytelnika w zachwycającą grę gestów i uczuć. Uwodził go sugestywnym językiem, sugerował różnorodność ukrytą pod szarżyzną codzienności. Chodziło mu o to, by literatura była sztuką nowego nazywania, by wytrącała z nawykowych reakcji, by prowadziła ku tematom peryferyjnym. Językowa innowacyjność tego pisarstwa nie ma sobie równych we współczesnej polszczyźnie. Rozkwita w słowotwórczym pomnażaniu form, ale jest też precyzyjna w kreśleniu zmysłowego konkretności. Pulsujące rytmem zdania wywołują zdziwienie, ekscytację, a czasem oburzenie. W każdym razie nie pozostawiają obojętnym.

Niemal do końca zachował młodzieńczy apetyt na życie, okazując radość całym ciałem – rozpromienioną w uśmiechu twarzą, szerokim gestem otwartych ramion. Nawet wówczas, gdy siły już go opuszczały. W listopadzie 2010 roku w krakowskim klubie „Pod Jaszczurami” rozmawiał z Przemysławem Czaplińskim o swojej drodze artystycznej, odpowiadał na pytania czytelników, a potem długo podpisywał książki. Każdego rozmówcę darzył uważnym spojrzeniem, czy był to uznany profesor czy studentka zaciekawiona lekturą. Do dialogu zapraszał utworami, które komponował wokół spotkania postaci mentalnie zróżnicowanych. Inspirację czerpał z obserwacji ludzi na ulicy, w pociągu, kawiarni. W Krakowie lubił pójść do „Noworolskiego”, w Brukseli miał swoje ścieżki w okolicach Grand-Place, nazywając to miejsce na swojski sposób Starówką lub Rynkiem. W obu miastach był u siebie – Kraków powracał wspomnieniem polonistycznych studiów (1938/39) i

pierwszych poetyckich uniesień, natomiast belgijska stolica dała mu po wojnie życiową stabilizację. W interpretacjach polskiej kultury Claude'a Backvisa odkrywał przedromantyczną literaturę, sarmacką rubaszość, plebejskie pokłady polszczyzny. Z tym nurtem tradycji coraz bardziej się utożsamiał, dystansując zarazem wobec poezji nazbyt „pańskiej”, naśladowanej zachodnie wzory. Cenił autentyczność młodego Mickiewicza, który niczym z karczmy wyprowadzał swoje nieokrzeseane jeszcze ballady, ale już późniejszą twórczość wieszczą uznawał za zbyt uładzoną. Nie jest przypadkiem, że we wstępie do *Matugi* parodystycznie potraktował epicką rozlewność *Pana Tadeusza*.

W pracy uniwersyteckiej ze studentami brukselskiej slawistyki rozwijał własną inwencję słowotwórczą, gdy wspólnie tworzyli rodziny wyrazów, szukali synonimów. Z upodobaniem studiował słowniki polszczyzny, aby przypomnieć zapoznane dziś rejestry słów, odsłonić znaczenia rzadkich wyrazów. Wsłuchiwał się w codzienną konwersację na polskiej ulicy, szukając w niej osobliwości żywej mowy. Utrzymał więź z rodzimym językiem, mimo oddalenia od kraju, jako że od 1945 roku mieszkał w Brukseli. Najpierw był to kontakt za pośrednictwem literatury, później bezpośredni, gdy po liberalizacji politycznej w 1956 roku regularnie przyjeżdżał do Polski. Starał się wówczas wchłonąć w siebie jak najwięcej wrażeń, zanurzyć w języku mówionym, tak różnym zarówno od urzędowej nowomowy, jak i od stylu artystycznego. Nierzadko sam inicjował konwersację, by posłuchać, jak brzmi melodia intonacyjna współczesnego zdania. Życzliwie przyglądał się zmianom, które w ostatnim dwudziestolecu zachodziły w tak szybkim tempie. Trzeba przyznać, że był przenikliwym obserwatorem, że znakomicie orientował się nie tylko w przeobrażeniach politycznych, ale i obyczajowych. Jednak opinię o bieżących sprawach wypowiadał powściągliwie, uznając, że nie przystoi oceniać tego, w czym nie uczestniczy się aktywnie.

Dystans pozwalał zachować artystyczną niezależność, swobodę w podejmowaniu tematów, nawet jeśli były tak trudne, jak pożądanie homoseksualne (*Rudolf*), pedofilia (*Putto*), asymilacja imigranta (*Gość*). Nie przydawał im aury skandalu, a jedynie szukał nieregularnych linii w świecie mieszczańskiej symetrii,

świadom tego, że porządek moralny naszczepiony został na żywole natury. Nie zmierzał ku anarchii, przeciwnie, ceniał ład Europy, natomiast w literaturze skłaniał się do przekraczania granic. Sztukę pisania pojmował jako ekspresję fenomenu życia w jego nieprzewidywalności i tajemnicy. Skrywane bądź stłumione emocje wydobywał ze schowków podświadomości, indywidualnej bądź zbiorowej, nadając im wyrazistość sensualistycznego aktu poznania. Stale kwestionował utarte sądy w imię prawdy ciała i zmysłów, gdyż te, jeśli uwodzą, to w krainę smaków i zapachów, co chroni przed ideologicznym abstraktem. Do końca był po stronie człowieka cielesnego, zapraszając wdowy i wdowców na bal, choć ta zabawa podszyta jest już melancholią pożegnania. O wieku senioralnym pisał jednak z epikurejskim spokojem, dostrzegał w nim liczne możliwości podglądania Natury w jej kolejnych niezwykłych odsłonach. Zachował zdolność zdziwienia, w zasobach języka szukał dlań metafor, które przybliżą do egzystencji, do kory naszczepionej tajemnicą, jak sam to określił.

Łączył wyrafinowanie estety z plebejską mową, wychodząc poza ramę kultury wysokiej w stronę emocji spontanicznych, nieoswojonych przez społeczną normę. Dzięki temu był pisarzem odrębnym, wolnym od krajowych czy emigracyjnych konwencji. Akcentował swój sanocki, robotniczy rodowód, ale doceniał też środowisko belgijskie, gdyż tam poznał inny niż polsko-romantyczny punkt spojrzenia na historię i egzystencję. Wspominał spotkanie z Michelelem de Ghelderode i jego teatrem przy okazji tłumaczenia sztuki *Hop Signor*. W rozmowach z brukselskim dramaturgiem odkrył wywrotowe widzenie rzeczy ludzkich, wypełnionych małością i miłością. Później sam pisał o nich śmiało, dokonując tym samym przewartościowania w obrębie literatury polskiej.

Jeden z motywów kwiatowych Mariana Pankowskiego – czarny bez – wywołuje swym odurzającym zapachem skojarzenia ze sferą erotyki i śmierci. W tym obrazie przenika się zachwyty dla urody życia z refleksją nad mrokiem przemijania. I tak się złożyło, że niedawne odejście pisarza (kwiecień) zegna bujne kwitnienie majowego bzu niczym przedłużenie jego własnej fascynacji fenomenem niepojętej materii świata.